Cena 60 groszy

Opłata uiszczona ryczałtem.

GÓRKA



MIESIĘCZNIK

MŁODZIEŻY I DZIATWY, PRZEBYWAJĄCEJ W KOLONJI LECZNICZEJ DZIECIĘCEJ IMIENIA DR-A MEDYCYNY REKTORA J. BRUDZIŃSKIEGO PRZY ZDROJU W BUSKU

ORGAN TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ GÓRKI.

ROK II. Marzec 1932 r. Nr. 3. (15)

Nasza rola w kryzysie gospodarczym.

W artykule „Kryzys gospodarczy, a Górka" umieszczonym w numerze 9 | 10 ubiegłego roku pisaliśmy:

„Trzeba zrozumieć, że świat cały nie jest oddzielną, oderwaną od nas wartością, — lecz, że my sami, każdy z nas, stanowimy cząstkę tego świata, że swojem życiem tworzymy życie ogólne, że wady i wartości w nas pojedyńczych leżące, składają się na wady i wartości świata całego, że każdy z naszych postępków i czynów nie jest czemś samem w sobie, oderwanym od życia czynem, lecz, że życiem swojem i postępkami stwarzamy życie ogólne świata."

I dalej: „W dążeniu tem, w drodze do dobra, sprawiedliwości, piękna i prawdy — nie jest obojętny najmniejszy, najdrobniejszy nasz czyn."

Myśli te pragniemy rozwinąć obecnie.

O kryzysie mówią i piszą dziś wszyscy. Lecz dla wielu z tych, którzy znajdują się szczęśliwie w dobrych lub dość dobrych warunkach, których bieda, głód, niedostatek, bezrobocie nie dotknęły bezpośrednio — słowo „kryzys" stało się tylko modnem słowem, używanem przy każdej sposobności, dźwiękiem tylko, którego istotnego znaczenia nie czujemy zupełnie. W najlepszym razie jest to sposobność do uronienia łezki nad „biedakami bezrobotnemi", bez wnikania sercem w ten bezmiar bólu i nędzy, jaki kryje się za słowem „kryzys."

Gdy dadzą nam jeść do syta, gdy śpimy w białych, czysto zasłanych łóżkach, gdy jeszcze czasem ktoś zrobi nam jaką przyjemność, pokaże kino, da łakoci — to kryzys jest, wiemy to, niewątpliwie jest, lecz za górami i lasami, — dotyka innych, lecz nas szczęśliwie oszczędza

I pędzimy beztroski żywot dzień po dniu, a złe wiadomości, smutne myśli, odpędzamy jak natrętną muchę, aby nie mąciła nam pogodnego nastroju...

Przesadzam?

Nie, niema w tym przesady. Zastanówmy się sami nad sobą, pomyślmy chwilę — i przyznajmy się, że tak jest rzeczywiście. Nie wszyscy, lecz wielu, wielu z nas żyje w beztrosce, nie doceniając groźnego niebezpieczeństwa dla wszystkich.

I dopiero gdy groźne chmury zaczynają przybliżać się do nas, gdy bezrobocie dosięgnie kogo z naszych blizkich, gdy nadchodzą pogłoski o zmniejszaniu pracowników Górki, gdy różne instytucje zawiadamiają, że nie będą dłużej leczyć dzieci na Górce— wtedy staje przed nami prawdziwa,

(Dalszy ciąg na str. 4.)

Wodzowi Niezłomnemu,
Pierwszemu Marszałkowi Polski,
Twórcy Armji dzisiejszej —
JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU
w dniu Jego Imienin,—ślą dzieci chore z uzdrowiska na Górce najserdeczniejsze życzenia.

Józef Piłsudski przyszedł na świat w pięknej ziemi litewskiej w 1867, w chwili, gdy cały naród pogrążony był w bezbrzeżnej apatji po nieudałym powstaniu.

Jako pacholę wychowywał się pod opieką i wpływem matki, która umiłował Ojczyznę ponad wszystko i która zapoznawała swego Ziuka z życiem ówczesnym, uczyła patrzeć na życie, wtajemniczała w dolę i niedolę Polski.

Po utracie majątku przenoszą się rodzice Ziuka do Wilna, oddając go do szkoły rządowej. Tutaj spotyka się dzisiejszy Marszałek oko w oko z nagą rzeczywistością niewoli i ucisku moskiewskiego. — Buntuje się młoda dusza przeciw przemocy! Zaczyna organizować młodzież, tworzy tajne związki. W pracy pomaga Mu matka, a trzej wieszczowie nasi są duchowym drogowskazem.

Po wstąpieniu do uniwersytetu w Charkowie, w pierwszym roku zostaje wydalony za działalność patryjotyczną i odtąd rozpoczyna się Jego życie tułacze.

Pracuje nadal dla Polski. Tropiony przez nieprzyjaciół, nie upada na duchu, nie poddaje się rozpaczy. Nie złamie młodej duszy zesłanie na Sybir, skąd wróciwszy po kilku latach wznawia działalność mającą za cel walkę o Wolną, Niepodległą Polskę. Współpracuje czynnie i jest współtwórcą Polskiej Partji Socjalistycznej, ogniskującej ówcześnie wszystkie czynniki dążące do Niepodległości, Sprawiedliwości, Postępu. — Tworzy tajne związki strzelec-

kie, zaczątki późniejszej armji naszej.

Następuje wielki moment Wojny światowej. Komendant nie waha się wziąć wielkiej odpowiedzialności — wystąpić czynnie do walki, zaświadczyć przed światem że Polska żyje. 6 sierpnia 1914 roku z Krakowa wyruszają pierwsze oddziały Legjonów do walki z Rosją. — Lecz gdy później Niemcy i Austrja chcą uczynić z Legjonów Polskich korpus posiłkowy pod obcą komendą, przekreślając ideję Wojska Polskiego, nie waha się znowu rzucić wszystko na kartę: złożyć broń, pozwolić na uwięzienie legjonistów w obozach jeńców i samego siebie w Magdeburgu. — W więzieniu będąc, tajemnie kieruje podziemnym ruchem niepodległościowym.

I wreszcie zaswitała upragniona Jutrzenka Wolności.

Przegrana Niemiec, rewolucja, pozwala zrzucić kajdany niewoli w listopadzie 1918 r. Powstaje Wolna Niepodległa Polska, na czele której staje Ziuk dawniejszy jako Naczelnik Państwa.

Nie zakończyła się jednak praca Marszałka. Mozolnym, ciężkim trudem budować trzeba Polskę od podstaw, bronić ją od wrogów, ze stron wszystkich czyhające na słabe jeszcze państwo. Przychodzi ciężki 1920 rok — wojna z Rosją Sowiecką. Nadludzkim trudem i wysiłkiem Narodu, pod wodzą Swego Naczelnika, odnosi Polska zwycięstwo. A później w 1926 r. gdy źle pojęta wolność i swoboda wewnątrz kraju grozić zaczyna wewnętrznej sile Ojczyzny, Marszałek znowu nie zawaha się wziąść ster Państwa w swe ręce, idąc nawet drogą licznych ofiar, — aby prowadzić Polskę w lepszą przyszłość. —

Całe swe życie, całego siebie — Polsce oddał tylko!

Walczył o Polskę, tworzył Ją, bronił Jej!

Dziś, w dniu Imienin Wielkiego Obywatela, Niezłomnego Wodza Narodu — cała Polska łaczy się w hołdzie dla Niego.

Cześć Mu! Niech nam żyje Marszałek JÓZEF PIŁSUDSKI. —

groźna twarz „kryzysu". Odsłania się znienacka różowa zasłona przesłaniająca prawdziwy obraz życia.

Zaczynamy widzieć i słyszeć. Stają przed nami olbrzymie kominy fabryczne, z których nie b i e g n ą k ł ę b y dymu, fabryki opustoszałe, maszyny zamarłe, tłumy ludzi daremnie wyczekujących pracy. I widzimy, tuż przed oczyma naszemi, nędzne mieszkania robotnicze, z których już wyniesiono wszystko co dało się sprzedać lub zastawić, barłóg — zamiast czystego łóżka, puste garnki w których niema co gotować... Nędza, głód i — co za tem idzie — choroby.

Ciężki bolesny to obraz. Lecz obraz w którym niema przesady, obraz twardej rzeczywistości, który t r z e b a zobaczyć oczyma duszy, trzeba odczuć sercem.

Nie po to jednak aby przejść do rozpaczy, zwątpienia i apatji, lecz po to aby zastanowić się nad swoją rolą w tym ogólnym nieszczęściu.

Żal, rozpacz — nic tu nie pomoże. Nie pomoże też szukanie przyczyn złego stanu rzeczy, bo te zbyt są skomplikowane i zawiłe, aby sąd wydać słuszny i odrazu środki zaradcze obmyśleć.

Nie wolno jednak nikomu pozostać biernym, bezczynnym i ograniczyć się do biadania.

Mówiliśmy już o tem, że w rozwoju ogólnym świata żaden czyn i postępek nie jest obojętnym. Działać może i winien każdy, dorosły, czy młodzieniec, czy dziecko, w zakresie dla siebie dostępnym.

I o tej właśnie roli każdego z nas parę słów chcemy powiedzieć.

Interesuje nas przedewszystkiem sprawa leczenia młodzieży i dzieci, rzucamy hasła powszechnego leczenia. Wiemy z drugiej strony, że wszystkie instytucje, samorządy, Kasy Chorych, Państwo, z braku pieniędzy zmuszone są zmniejszać sumy przeznaczone na lecznictwo. Chodzi więc o to aby za te zmniejszone i okrojone sumy m o g ł o l e c z y ć s i ę j a k n a j w i ę c e j d z i e c i.

A będzie to wtedy możliwe, gdy koszt leczenia jednego dziecka z m n i e j s z y s i ę jaknajbardziej

Zmniejszyć ten koszt można jaknajdalej idącemi oszczędnościami i oszczędnościami nie na ilości pracowników, lecz na koszcie żywienia, koszcie światła, naprawach i reperacjach mebli, bielizny, budynku i wielu, wielu innych wydatkach, które w poszczególnych wypadkach drobne, w sumie dają bardzo poważne koszta.

Chcecie przykładu? Dam go zaraz: jeżeli koszt samej żywności dla obecnej ilości dzieci w naszem sanatorjum zmniejszył-by się t y l k o o 4 g r o s z e d z i e n n i e (tylko 4 grosze!), to daje to sumę prawie 200 zł. na miesiąc! Za tę sumę może się leczyć 1 dziecko stale, zupełnie bezpłatnie!

A 4 grosze dziennie, to koszt 1/2 jajka, lub 1 jabłka, lub 1/2 szklanki mleka, lub 2 łyżeczek cukru!

I teraz uderzmy się w piersi i pocichu przypomnijmy sobie czy nigdy, doprawdy nigdy, nie zmarnowaliśmy niepotrzebnie, li tylko przez nasze wymagania i tak zwane „gryma-

sy” takich 4 groszy dziennie, za które mogłoby leczyć się 1 dziecko na Górce bezpłatnie?

Przykładów takich można-by dać więcej — nie chcę jednak aby to co piszemy było moralizatorskiem zrzędzeniem.

Chcę tylko dać przykład, jak drobnemi czynami uczestniczymy w pogłębianiu lub zmniejszaniu kryzysu i jak prawdziwą jest myśl, że żaden czyn, dorosłego czy dziecka, nie jest obojętnym i bez wartości w życiu wszystkich.

Ten kto zechce — wysnuje wnioski dalsze sam. I ten kto sam się leczy i ten — zdrów — co drobnemi, najskromniejszemi ofiarami może przyczynić się do zmniejszenia nędzy ogólnej.

A. D.

Zdrowe dziecko — to przyszłość narodu i świata. Złóż najdrobniejszą ofiarę na fundusz leczenia dziecka.

GŁOS z GÓRKI.

„Magistrat miasta.... z powodu trudnych warunków finansowych, w jakich się obecnie znajduje, nie jest w możności w dalszym ciągu leczyć chorych w szpitalach na koszt własny. Wobec czego z dniem 1 maja r. b. wymawia dalsze leczenie w tamt. Kolonji Edw. P.....”

Nowa ustawa Kas Chorych przewiduje ograniczenia daleko idące i bodaj zupełne przekreślenie sanatoryjnego leczenia w Polsce.

Należałoby wobec powyższego zamknąć zakłady lecznicze, przekreślając też z takim trudem i z tyloma wysiłkami podjętą, a niedocenianą już dziś chyba ze wszystkich krajów cywilizowanych tylko w Polsce, sprawę leczenia dzieci z gruźlicą chirurgiczną!

I oto jeden z setek przykładów: Edzio P., chłopiec dziś w wieku lat 12-tu, przwieziony był do nas po raz pierwszy w r. 1929-ym w stanie rozpaczliwego wyniszczenia, z ranami i przetokami ropiejącemi z powodu gruźliczego procesu części lędźwiowo-piersiowej kręgosłupa. Po 3 mies. pobycie w naszem uzdrowisku, w chwili rozpoczynającej się poprawy, zabrany zostaje przez Kasę Chorych, ale po paru miesiącach zostaje znów, na ten raz już w stanie grożnym, przywieziony do nas, ze względu na taki stan dziecka samochodem wprost z Zagłębia do Buska. Dziecko w ciągu tygodnia należało ratować przed śmiercią zastrzykami kamfory! — Od tego jednak czasu, przy pomocy Kasy Chorych i przedewszystkiem kosztem miasta, w ciągu 2½ lat leczone sanatorjalnie, dochodzi dziecko do kwitnącego stanu: proces gruźliczy kręgów zmierza ku zupełnemu wyleczeniu, chore kręgi zwapniały utworzywszy wspólny trzon, ani śladów ropienia, a więc przetoki i owrzodzenia już od roku zgórą zagojone! Chłopiec uratowany od śmierci, a obecnie i od ciężkiego kalectwa, jakie mu groziło w postaci garbu. Nieszczęście dla siebie samego, ciężar dla społeczeństwa — dziś po 2-3 latach

leczenia się i uczenia w naszem uzdrowisku, stał się jednym z wyróżniających się zdolnościami i inteligencją uczniem naszej szkoły sanatorjalnej klasy IV-ej. przechodząc rok rocznie program kursu i egzaminy klasowe. — Od 1/2 roku pozwala się dziecku już chodzić, ale narazie zaledwie od 1/2 do 1 godziny dziennie. Sprawa chorobowa jednakże, aczkolwiek tak dalekiej uległa poprawie, nie przedstawia jeszcze zupełnej gwarancji wyleczenia, przynajmniej jeszcze do roku czasu. To też dziecko, pozbawione racjonalnej opieki sanatoryjnej, może ulec szybkiemu pogorszeniu, czego dowodów w podobnych okolicznościach mamy, niestety, z własnego smutnego doświadczenia już tyle. Edziowi grozi to napewno a społeczeństwu — choroba i kalectwo obywatela, co się tak zapowiada pożytecznie, nie mówiąc o poniesionych nadaremnie stratach moralnych i pieniężnych!

Czyż w tak słusznych skądinąd dążeniach i koniecznościach istotnych oszczędnościowych wolno i czy jest rozumnie przekreślać zdrowie ludzkie, zdrowie dzieci będących na wyleczeniu?...

Górka, 10 marca 1932 r.

Lekarz z Górki.

Marzec 1932 r.

O SŁONECZKU.

3. O leczeniu powietrzem i słońcem w praktyce.

W ostatnim numerze „Górki" była mowa o słońcu i promieniach słonecznych oraz o metodzie nasłoneczniania chorych przez dr. Rollier (czyt. Rollje), w wysokich górach Szwajcarji. W styczniowym zaś numerze wspomniano o cudownych wynikach leczniczych, otrzymywanych za pomocą słońca, zwłaszcza w schorzeniach chirurgicznych (np. gruźliczych) Zachodzi teraz pytanie, czy tylko w górach i to wysokich Szwajcarji względnie na plażach morskich możliwe są jedynie wspomniane wyniki lecznicze? — Nim odpowiem na to pytanie, mając na względzie nasze, że się tak wyrażę, polskie słońce i powietrze w naszych Tatrach i w mniejszych lub większych górach i „Górkach", nad naszym Bałtykiem, i na naszych równinach z ich piaskami, łąkami i lasami, jeziorami i rzekami, posłuchajmy, co mówią na ten temat lekarze szwajcarscy, belgijscy i inni, jak niemieccy; opinje tych ostatnich, ze względu na zbliżone do naszych warunki geograficzne i klimatyczne Niemiec, posiadają dla nas może nawet ważniejsze znaczenie. —

Przytaczany przezemnie w poprzednich moich artykułach dr. André (z Belgji), entuzjasta słońca, podkreśla na wstępie ogromne w lecznictwie znaczenie samego powietrza (aeroterapji), oceniając trafnie rolę ruchu powietrza, ćwiczącego skórę i jej części składowe (jak układ naczynio—ruchowy, włosowaty, gruczoły łojowe i potowe, układ nerwowy i inne) oraz jej czynności (przeziew, oddech, czynności wydzielnicze i t. p.); wpływ składu powietrza (morskiego, leśnego, górskiego, rzecznego i t. p.), temperatura i wilgotność powietrza, niezależnie od promieniowania słońca, posiadają ogromnie także znaczenie; coraz też częściej bierze się pod uwagę i inne czynniki, niezależnie od geograficznego położenia i związanego z tem położenia i siły słońca, jak np. napięcie elektryczności, atmosfery, wzgl. przewodnictwo powietrza i t. p.

Na tem też miejscu trzeba mi podkreślić, że my w Polsce naogół boimy się powietrza. Jakże powszechnem jest szczelne zamykanie i zalepianie nawet na zimę okien i drzwi, nawet w lecie, w upalne dni i noce niezawsze otwierane, nie mówiąc już że w zimie zwłaszcza nie otwiera się ich wcale, narażając się na oddychanie całemi nocami (stanowiącemi wszak w życiu człowieka połowę jego życia) powietrzem zepsutem, przepełnionem kwasem węglowym i innemi szkodliwemi dla zdrowia gazami, wydzielanemi przez nasz ustrój, a pozbawionem do niemożliwych granic odżywczego i wprost ożywczego dla krwi i tkanek naszych tlenu...

A byleby tylko okryć się dobrze pierzyną, wzorem np. zwyczajów niemieckich, praktykowan. i na naszych wsiach polskich, to spać można i zimą na otwartem powietrzu, a już conajmniej przy otwartem oknie, jak się to czyni np. w klinice dziecięcej w Wiedniu, na dachu, jak to ma miejsce i w naszych zakładach leczniczych, np. na Górce, gdzie okna latem i zimą, dniami i nocami są otwierane, albo wręcz dzieci leżą i śpią na werandach odsłoniętych, niekiedy i zimą, o ile niema zbyt silnego mrozu, wiatru lub deszczu; chętniej wtedy nawet wywozimy na łóżeczkach z kółkami dzieci mizernierniejsze, z upośledzonem łaknieniem, gorączkujące, oczywiście chroniąc je jedynie przed zziębnięciem ciała, szczelnie okutane pierzynami, kożuszkami i kocami przed zimnem. By ustrzec dziecko wystawione na powietrze zimne przed ziębieniem, badamy u dzieci końcowe cześci ciała, najłatwiej ulegające ziębieniu, śledząc czy nie są zimne ich uszy, noski, ręce i nóżki.

Słusznie też podnosi dr. André znaczenie powietrza czystego dla ran i owrzodzeń, jakie odsłonięte na powietrzu goją się lepiej niż pod wpływem opatrunków chirurgicznych, pod któremi wydzielająca się ropa maceruje otaczającą skórę, a zarazki tem się lepiej mnożą, gdyż chronione są jakby naumyślnie przed dostępem powietrza i słońca, dla nich zabójczych. — Na naszych dzieciach, u których mamy do czynienia z większemi ranami i silniej ropiejącemi, ten sposób postępowania, dopiero

wprowadzany, dał nam wynik wyraźnie lepszy, niż przy szczelnych opatrunkach gipsowych (z okienkami) i zwykłych chirurgicznych z bandażowaniem.

A dalej, temperatura powietrza sal naszych, ogrzewanych centralnem ogrzewaniem, naogół niewysoka, sięgająca +13° — +12° R. znoszoną jest przez zahartowane dzieci nasze doskonale.

Nocą siostry dyżurne obchodzą wciąż sale, zamykając jedynie okna naskutek burzy w porze letniej, zaś zimą o tyle, o ile ciepłota sal obniża się poniżej +10° — +9° R. W razie potrzeby, przy odczuwanem przez siostry zgęszczonem powietrzu, (w tym celu poleca się siostrom wychodzenie na świeże powietrze zewnątrz pawilonu), po upewnieniu się że dzieci są nakryte dobrze, otwiera się okna i drzwi na przestrzał, dla sprawienia żywszego przewiewu, tego przeciągu, co budzi lęk powszechny, niekiedy może i słuszny u ludzi niezahartowanych.

A oto znów, jakże nam żywo, na Górce, przypominają się zawsze te dzieci, ciężko chore, z podniesionemi ciepłotami ciała, wyniszczającemi ustrój, przy zupełnym braku u nich łaknienia, gdy wynoszone przez nas do naszych gajów, w cieniu lata słonecznego, chronione tylko właśnie wtedy przed silnem dla nich działaniem słońca, w oczach się poprawiają, niekiedy już po paru dniach, po tygodniu lub po 2-3 tygodniach tracić zaczynają gorączkę, ożywiają się i upominają się też coraz częściej i coraz chętniej o posiłek.

Jakże o tym potężnym środku leczniczym wogóle i specjalnie w chorobach gorączkowych mało się wie w naszej Polsce, nawet w ośrodkach bardziej kulturalnych, w skupieniach choćby wielkomiejskich, choćby najgorszych pod względem zdrowotnym, gdzie mimo to powietrze samo, nie mówiąc o słońcowaniu (np. na dachach), zdolne jest wywoływać zbawienny wpływ na ostre i przewlekłe stany gorączkowe, anemje, krzywicę skrofulozę i t. p. schorzenia.

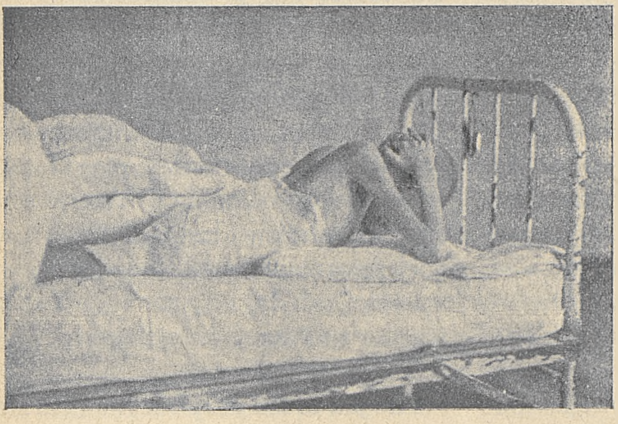
Mniej się trzeba naogół obawiać powietrza wolnego, nieograniczanego ścianami i murami pomieszczeń ludzkich, niż zbyt silnego i długiego słońcowania, czego smutny przykład podawałem z dzieckiem zmarłem od słońca w opisie dr. André'go. Toć i nasłonecznianie znoszonem jest o wiele lepiej wtedy, gdy mamy, jak to bywa i u nas na Górce, łagodne wiatry u nas zachodnie.

Ale jak przed rozpoczynaniem słońcowania, tak też i przed oswajaniem wzgl. zahartowywaniem ustroju wobec powietrza, ustroju zwłaszcza żywiej reagującego dziecka, należy postępować stopniowo z kuracją powietrzną (aeroterapja): dzieci np. do nas przyjeżdżające, mam tu także na myśli głównie chłodne pory roku, nie odrazu są wywożone na otwarte powietrze; w pierwszych dniach (do 10-14 dni) przebywają w pokojach obserwacyjnych zlekka przewietrzanych i ogrzewanych dobrze, 14° R. Potem przenoszone są do sal pawilonowych, z oknami już coraz cześciej otwieranemi i wywożone są na określone godziny na nasze otwarte werandy.

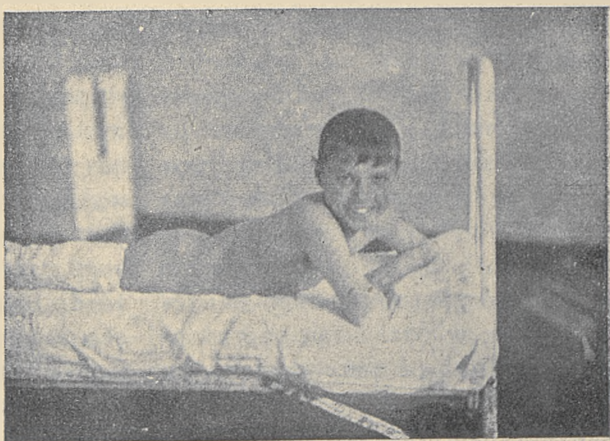
Dzieci wkrótce, przy wyraźnie zazwyczaj szybko następującej poprawie ogólnej, tak się oswajają z naszemi tu warunkami bytowania, że nie wymagają już następnie specjalnych ostrożności pod względem obaw o przeziębienie. Ci, co zwiedzają nasze uzdrowisko, podziwiają, jak są one zahartowane na niższą niż zazwyczaj bywa ciepłotę sal naszych przy ciągle, lub prawie ciągle otwartych oknach i drzwiach.

Gdy przeto w dalszym ciągu w następnym numerze „Górki” mówić będę o właściwem leczeniu słońcem, należy mieć na względzie to wogóle zbawienne na ustrój ludzki działanie powietrza, świeżego i czystego gór i lasów, morza, jezior i rzek, łąk i pól naszych.

(C. d. n.)



Edzio P... — zdjęcie po przyjeździe na Górkę w 1929 r. (lewa fotografja)



Edzio P... — zdjęcie obecne (prawa fotografja)

(Do art. „ Głos z Górki” patrz strona 5.)

ŻYWUSIA.
(Przygoda myszki)

W szkolnym gabinecie zoologicznym, tuż przy oknie, na niewielkim stoliczku stała mała klateczka z drobniutkiej siatki drucianej. Otoczona kilku doniczkami wybujałych asparagusów, przedstawiała wraz z niemi najbardziej zaciszne miejsce w całej sali.

Zamieszkiwały ją dwie białe myszki. Były tu od niedawna. Przeniesione z dużej, napół oszklonej klatki, w której przyszły na świat i spędziły dotychczasowe życie wśród bardzo licznej, bo aż z kilkudziesięciu myszek składającej się rodziny — zdążyły już oswoić się ze swem nowem pomieszczeniem, uznawszy je nawet za bardzo miłe, chociaż nieco ciasne, gdyż myszki, nawet w niewoli urodzone, lubią zawsze jak najwięcej swobody. — Początkowo niezadowolone były również z cienia, jaki rzucały na klateczkę roślinki, później jednak, gdy nadeszły gorące, upalne dni i słonko przygrzewało mocno, tak mocno nawet, że nie można było węszącym noskiem dotknąć metalowej siatki bez bolesnego oparzenia, — wtedy zrozumiały ich wartość i często zadyszane, ziejące, leżały w najciemniejszym kącikn w przemiłym chłodzie.

W kącie klateczki, o pół stopy ponad dnem, zawieszony był mocno mały domeczek — drewniane pudełeczko z niewielkim otworkiem, od którego łagodnie spuszczała się w dół długa deseczka, z poprzyklejanemi w poprzek drobnemi listewkami — schodami. Niżej stało korytko z ziarnem, kawałkiem bułeczki i lekko przysmażonej słoninki, a obok miseczka z czystą wodą. W ścianie przeciwległej wycięty nazewnątrz otworek prowadził do obracającego się bębenka, a raczej beczułki, której boczne klepki zastąpiono delikatnemi żerdkami; po nich to uwijały się myszki, goniąc się wzajemnie i figlując coniemiara. Był to ich sport. Szalone wprost wyścigi po błyskawicznie mknących pod łapkami pręcikach mówiły o nadzwyczajnej zręczności akrobatek; długi czas spędzały na tej ruchliwej zabawie, a potem. zmęczone, biegły ku jedzeniu i piciu.

Zdrowe i wesołe polubiły też swą klateczkę i spokój jaki w niej panował; przestały tęsknić do starej siedziby, zawsze pełnej pisków skrobań; czuły się najzupełniej szczęśliwe i zadowolone z losu.

A szczęście ich doszło do najwyższej granicy, gdy, w miękko wysłanem sierścią, puchem, szmatkami i drobnemi trocinami gniazdku, przyszło na świat sześć maleńkich myszek. —

Uradowana mama nie mogła nacieszyć się swem potomstwem i co chwila głośnym piskiem objawiała swe szczęście, zachwycała się każdem maleństwem pokolei i burczała na ojca, który w mniejszym daleko stopniu ujawniał swe uczucia, chociaż i w jego oczach błyszczących widziała uwielbienie.

Bo przecież to ich pierwsze dzieci.

Pierwsza radość matczyna. Pierwsza duma ojca...

— Co to za ślicznotki te moje maleństwa. Patrz, — mówiła do małżonka samka, — patrz jak to rusza się pociesznie. Jak się kręci. O, już jeść, jeść woła Zaraz, zaraz.

— Nie przyglądaj się im, a daj jeść. Głodne są! — mruknął ojciec.

I mama przytuliła maleństwa do siebie, zakrywając je nieomal zupełnie a wkrótce głośne cmokanie i krztuszenie się niewprawionych jeszcze gardziołek uspokoiło ojca.

Wyszedł powoli, spokojnie z gniazdka, jakby nigdy nic.

Gdy tylko jednak znalazł się na deseczce — śmignął momentalnie przed siebie, obiegł klatkę kilkakrotnie dokoła, wpadł do bębenka i z miejsca ruszył go w tak szybki obrót, że aż sam się zdziwił i... potknął! Okropne!

Gdyby samiczka widziała wówczas swego „statecznego małżonka" — zdumiała-by się i nie uwierzyła oczom

A „stateczny małżonek" warjował pijany szczęściem.

Już mu mało było bębenka, choć potykał się i obsuwał niemiłosiernie. Wybiegł z niego i znowu błyskawicznemi ruchy jął obiegać klatkę dokoła, czepiać się ścianek i skakać na denko, aż z trocin podniósł się w powietrze delikatny pył.

Zakręciło go w nosku. Stanął... Podniósł nosek nieco w górę i...— Pcich... pcich...! — rozległo się piskliwie, przejmująco.

Lecz w tej samej chwili przypomniał sobie, że przecież nakarmione dzieci śpią pewnie i zatrworzył się wielce, iż mógł nie które z nich (a może i wszystkie...) pobudzić; gdy więc powtórnie zaswędziło go coś niepokojąco, chwycił nosek w obie przednie łapki, by powstrzymać się od kichnięcia...

Daremnie.

— Pć... Pć..! — rozległo się mniej wprawdzie cienko, ale za to silniej niż poprzednio.

W domku coś zaszemrało.

(d. c. n.)

Leon Wiśniewski

MŁODZIEŻY ZDROWA. Pamiętaj, że w Polsce mamy setki tysięcy dzieci i młodzieży chorej na gruźlicę. Z tej armji zaledwie ułamek racjonalnie leczy się. — Przeczytaj nasze pisemko, daj je swym kolegom, rodzicom i znajomym, — Uświadamiajcie ich wszystkich o konieczności powszechnego leczenia dziecka przewlekle chorego. —

O Zdrowie Obywatela.

(Głosy i myśli)

Poruszając w poprzednim numerze sprawę kolonji letnich dla dzieci i młodzieży, obecnie pragniemy dać pewien rzut oka na pierwsze początki tej akcji, tak niezwykle ważnej, zrozumienie czego, jak widać z poniższego, datuje się oddawna. —

Pozwalamy sobie podać do wiadomości naszych czytelników urywki z broszury Dr. K. Górskiego: „Kolonje letnie" (Nr. 6 „zagadnień opieki n/macierzyństwem, dziećmi i młodzieżą w Polsce.")

— „Dobroczynny wpływ świeżego powietrza i słońca na organizm ludzki znany jest oddawna.

W końcu XVIII wieku pisał Jean Jacques Roussean, że „miasta to są jaskinie dla rodzaju ludzkiego. Wystarczy kilka pokoleń, aby rasa stała się zwyrodniałą zaginęła, koniecznem jest jej odnowienie i zawsze, w tym wypadku, wieś występuje, jako czynnik zbawczy. Wysyłajcie więć wasze dzieci, aby się odrodziły same przez siebie i odnalazły wśród pól siły, które się zatracą w niezdrowem powietrzu miejsc przeludnionych."

Apel ten, do społeczeństwa wystosowany przez głębokiego myśliciela, przez dłuższy czas pozostał bez echa, dopiero w drugiej połowie wieku XIX przystąpiono w Europie do wysyłania w porze letniej w okolice zdrowotne dziatwy i młodzieży w wieku szkolnym.

Pierwszą partję w liczbie 60 dzieci wyprawił w gory w r. 1876 pastor z Zuryku — Bion. To był początek kolonji letnich.

Inicjatywa pastora Bion znalazła wkrótce licznych naśladowców".

— „W obecnej dobie niema takiego kraju w Europie, gdzieby w węższym lub szerszym zakresie nie organizowano kolonij letnich dla dziatwy i młodzieży. Niema takiego kraju w Europie, gdzieby nie rozumiano, iż nawet krótki pobyt w porze letniej wśród natury, w zdrowotnych warunkach, w oddaleniu od miejskiego środowiska, zakażonego miazmatami chorobotwórczemi, pozbawionemi w znacznym stopniu działania promieni słonecznych, jest dla dziecka czynnikiem odkażającym, a jednocześnie źródłem wpływów natury wychowawczej. Kolonij letnich dla dziatwy i młodzieży szczególniej potrzebuje Polska, w której powojenny głód mieszkaniowy doszedł do niesłychanych rozmiarów, a wskutek tego ludność niezamożna wtrącona została w niemożliwe warunki higjeniczne.

Podług ostatnich danych statystycznych Warszawa w r. 1927 liczyła 90.000 rodzin bez własnego ogniska domowego. Na jeden dom w Warszawie przypada dziś przeciętnie 94 osoby, a niektóre domy liczą do 1.000 mieszkańców. 40% mieszkań jest jedno-izbowych; na 1 izbę przypadają przeciętnie 3 osoby, choć zdarza się, że w jednej izbie mieszka kilka rodzin, liczących razem 20 osób. Łatwo zrozumieć, iż przy podobnych warunkach mieszkaniowych 60% dzieci szkolnych dotkniętych jest powiększeniem gruczołów chłonnych, 6% dzieci w szkołach cierpi na gruźlicę czynną, a blizko 20% jest do niej wybitnie usposobionych. Brak odpowiednich lokali szkolnych niemało się przyczynia do pogorszenia stanu zdrowotnego dzieci.

Inicjatorem kolonji letnich w Polsce był dr. Stanisław Markiewicz, który zorganizował Towarzystwo Kolonji letnich dla dzieci w Warszawie w 1881 roku. —

— „Za przykładem Warszawy poszły inne miasta". —

— „Od powstania Polski Odrodzonej rozwój kolonij letnich dla dziatwy i młodzieży wykazuje znacz-

ny postęp. Inicjatywa społeczna została w znacznym stopniu wzmocniona przez udział samorządów i Państwa. Działalność poszczególnych organizacyj, mających na celu wysyłanie dzieci na kolonje letnie, została skoordynowana przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej, przy którem istnieje „Rada do Spraw Kolonji Letnich”. —

— Rozwój akcji kolonij letnich, prowadzonej przez Rząd i Społeczeństwo ilustrują poniższe cyfry ilości dzieci, które korzystały z kolonji letnich, kolonij leczniczych i półkolonij w latach 1922 - 1929 w|g. danych Pol Tow. Przeciwgruźliczego.

Lata	1922	1923	1924	1925	1926	1927	1928	1929
Kolonje wypoczynkowe	22.236	12.157	12.057	21.728	31.361	34.205	56.176	69.237
Kolonje lecznicze	6.255	4.621	7.758	10.561	5.880	8.258	8.830	12.074*)
Półkolonje	10.721	2.434	6.734	8.351	8.453	17.298	20.736	39.538
Razem	39.212	19.212	26.549	40.640	45.794	59.761	85.742	120.849

Nasze ankiety!

Na ankietę przeprowadzoną wśród naszych dzieci na temat: „jak najlepiej spędziłbym dzień na Górce”, kilkoro dzieci oddziału czwartego dało dość ciekawe odpowiedzi. Zupełnie odważnie krytykują one, że nie mają podzielonego należycie dnia, lecz z opisu ich wynika, że właśnie dzień ten jest podzielony, a najważniejsze jest to, że słowem nie piszą o nudach.

Tem niemniej poruszyły one niektóre ujemne strony naszego życia, jak n. p. niewłaściwego wyzyskania radja, no i pewnego rygoru, który chyba tak straszny nie jest.

Druga ankieta dotyczy przedmiotów, które nasze dzieci chętnie zbierają.

Największem powodzeniem cieszą się (u dzieci chorych) znaczki pocztowe i czasopisma podajemy 2 odpowiedzi, które są trochę sprzeczne z usposobieniem dziecka chorego — sport i kule.

Wracamy jednak do ankiety pierwszej. Piszcie kochane dzieci o wszystkiem, co chcielibyście zmienić, ulepszyć. Nie starajcie się jednak niszczyć urządzeń, na miejsce których

*) Nadmienić należy, że w latach 1928-30 w kolonjach sezonowych na Górce leczyło się od 1.000 do 1.270 dzieci czyli ca. 10-12 % dzieci jakie przebywały we wszystkich kolonjach leczniczych całej Polski. — Te cyfry w połączeniu z danemi dotyczącemi ilości miejsc sanatoryjnych dziecięcych, dają ilustrację roli Górki w lecznictwie dziecięcem w Polsce. —

nie możecie dać nowych i lepszych.

Wszyscy dołożymy starań, by pobyt Wasz tutaj uprzyjemnić, a szczere i rzeczowe głosy krytyki Waszej wziąć pod uwagę (n. p. co do radja w sobotę)

Pisma swoje kierujcie do K. Błaszkiewiczówny na Górce, którą wszyscy znacie.

H. Deptalskiej.

Jak najlepiej spędzamy dzień na Górce?

My dotychczas nie możemy sobie tego dnia podzielić.

Dnie na Górce spędzam bardzo miło; jest szkoła i biblioteka, w której są bardzo ładne książki. Książki można wypożyczać dwa razy w tygodniu.

W szkole uczymy się od godziny 8·30 do 10.

Po drugiem śniadaniu idziemy na spacer, na którym jesteśmy 2 godziny i jak przyjdziemy mamy już obiad. Po obiedzie mamy leżenie, na którem nie można rozmawiać! Gdy skończy się leżenie idziemy na odrabianie lekcyj. Po odrobieniu lekcyj — robimy robótki aż do godziny 5·30. Po lekcjach gra radjo i bawimy się w piłkę, a potem jest kolacja, po kolacji mówimy wszystkie modlitwy i idziemy spać.

Jak najlepiej spędziłbym dzień na Górce? Po pierwsze co to jest Górka? Jest to sanatorjum położone na Górce. Jak spędzamy dzień na Górce, rzecz prosta, że dobrze. Rano wstaję poduczę się, co jest zadane, póżniej jest śniadanie, po śniadaniu idę do szkoły, w szkole jak w szkole — uczy się. Po lekcjach idę na spacer. Na spacerze jest bardzo miło bo jest świeże powietrze, które tak miło wdychać, i chyba najprzyjemniej jest patrzeć na te piękności świata. Po spacerze obiad, po obiedzie leżenie, po leżeniu lekcja, na lekcji bardzo miło się słucha opowiadań zwłaszcza z historji.

Po lekcjach idzie się do salonu, ale teraz p. doktór zabronił.

Kolacja i spać. Według mnie wolałbym, ażeby było to co żądamy.

Pan doktór zabronił chodzić po parku, a do miasta niema już mowy, do salonu nie wolno, na inny hal nie można, z sali siostry wypychają, mówiąc, że się śmieci i brudzi się podłogę. Więc gdzie mamy iść? Wszyscy wołamy, ażeby takiego rygoru nie było. Dawniej było lepiej. Dalej co nas boli, jak jest w radjo dla dzieci i młodzieży program, to nikt nie słucha, bo musi iść na lekcję, wszyscy prosimy, aby w sobotę nie było po obiedzie lekcji bo w sobotę bywa ładny program dla dzieci, piękne słuchowiska i inne feljetony oraz odczyty. Druga nasza bolączka, żeby można iść do parku gdy siostra pozwoli, wszyscy więc prosimy, żeby naszym prośbom zadość uczyniono.

11-to letni
Zdzisław Gołębiowski
uczeń IV oddziału.

Zapisujcie się na członków Tow. Przyjaciół Górki!

Konarska Marja.
oddz. IV.

Jak najlepiej spędziłabym dzień na Górce?

My nie mamy zupełnie podzielonego dnia. Rano wyjeżdżamy na lekcję. Uczymy się 2 godz., żeby te lekcje były tak mile to nie powiem, niektórzy, z uczniów nie nauczą się lekcyj, wtedy pan profesor krzyczy. Po lekcjach wyjeżdżamy na werandę, ażeby się nie nudziło pomimo że pracujemy trzebaby ustalić plan, kto i co ma opowiadać, trzeba to ustalić tak, ażeby każdy mógł coś powiedzieć, lub zaśpiewać, albo chóralnie powinniśmy sobie śpiewać. Pomimo tego ktoś czyta książkę. Wiemy wszyscy, że w sanatorjum jest bibljoteka, z której każde dziecko przebywające w sanatorjum może korzystać.

Zjeżdżamy na salę, jedno mi się nie podoba, że nie możemy wszystkie wykorzystać z radja, dziewczynki krzycząc zagłuszają koncert, który jest przez radjo nadawany.

Wieczorem gdy są filmy, pan profesor pokazuje obrazy przyrodnicze geograficzne i t. d.

Teraz mamy śpiew z panem profesorem przygotowujemy piosenki bo nadchodzą imieniny naszego zasłużonego Marszałka Józefa Piłsudskiego. —

Wieczorem słuchamy radja, wtedy dziewczynki są cicho, a niektóre już śpią o godz. 8-9 koncerty się kończą. Wtedy pani zabiera lampę, i wszystkie usypiamy.

Roman Szmidt.

Ja zbieram kulki z karabinu i gilzy, zbieram pieniądze przedwojenne, składam znaczki pocztowe i nalepiam je w albumie. Przechowuję je w szafie. Zbieram to wszystko na pamiątkę.

Zdzisław Gołębiowski

1 Jakie przedmioty zbieram?
2 Gdzie i jak przechowuje je?
3 Dlaczego je zbieram i przechowuje?
4 Czy chętnie daję je swym kolegom (koleżankom)?

Zbieram pieniądze zagraniczne i zbieram pisma tygodniowe albo miesięczne. Przechowuje je w szufladzie bardzo starannie zapakowane, bo mam ich sporo. Składam już od dwóch lat. „Przegląd sportowy” który prenumeruję i inne pisma.
Dlatego zbieram, bo lubię czytać sport, a pieniądze dlatego bo lubię wiedzieć jakie są zagraniczne godła państwowe i herby.

Nikomu nic nie daję z przechowywanych przedmiotów.

Propaguj ideę leczenia dziecka przewlekle chorego. Czytaj, prenumeruj nasze pisemko. Poznaj duszę dziecka z tego co mówi i pisze. —

Opowiadania naszych najmłodszych.

Oto co mówi mały Kazio, gdy

przez 3 dni nie było zajęć w przedszkolu z powodu choroby naszej ochroniarki popularnie zwanej pani Haneczki:

KAZICZEK Cy pani była w niebie?

Bo tsy dni nie było psedskola i dzieci tak mówiły że pani Haneczka latała po niebie, ze ze oni widzieli. Cesio tak mówił i inne dzieci. Cy to prawda?

Cesio K. p. H. tak po niebie jechała w białej chustce chusteczce, tak jeeechała z piekła.

Kaziczek: Ale się nie spaliła.

— — — — — — — — —

A oto rozmowa dwu pięcioletnich dziewczynek o swoich warunkach domowych. jest to najszczersze określenie środowiska, z którego dziecko pochodzi.

JADZIUNIA MROZOWSKA Wiesz Daneczko moja, wiesz ja mam taką starą babunie, ale taką kochaną moją, ona ma nóżki chore, ale siedzieć może i w samochodzie i kolei, ale moja babunia taka biedniutka, niema pieniędzy że sobie kupić nie może pońcosków, taka jest starusecka niemoże zarabiać i nie może psyjechać zobacyć jak tu jest. Ale moja babunia jest taka kochana.

DANECZKA FLOREK A może by babunie wnieśli pany do samochodu, otworzyłby jeden dzwi i dlugi wsadził a mój tatuś zalabia to ja ci dam dam piniądzów dla babuni — to psyjedzie i zobacy jak tu jest.

O bo mój tatuś to wis umi złepelować stół i safe.

Staramy się oddać podchwycone rozmowy naszych dzieci dosłownie i ichwłaściwym stylem. —

DZIEŃ NA GÓRCE.

Oto myśl doskonała natchnęła Doktora,
Aby do Górki dziatwa zjeżdżała się chora;
Bo zdrowe i urocze są jej okolice;
Można będzie skutecznie uleczyć gruźlicę.
Tam gdzie wesołe kwiaty i słoneczko świeci,
Dobrze się w miłem gronie czują wszystkie dzieci.
Zaledwie szósta z rana, gdy już siostry wchodzą,
Otwierając okienka mile dzieci chłodzą;

A przez okna słoneczko do wnętrza się wdziera,
I na leżące dziatki radośnie spoziera.
Potem zaś dobre siostry ścielą dzieciom łóżka,
Ale bardzo ostrożnie, gdyż boli je nóżka.
Wnet myć się i goroczkę potem mierzyć trzeba,
Bo już za chwilę wniosą wielkie kromki chleba,
Zaraz potem się kawa zjawia doskonała,
którą z ogromnym smakiem pije dziatwa cała.
A teraz do nauki, kochany leniuszku,
Bo nie wolno próżnować, choć się leży w łóżku!
U nas na Górce lekcja przyjemnie upływa,
Bo profesor rozumny, dziatwa nieleniwa.
Nauczyciel spogląda na kochaną dziatwę
I twierdzi, że zadania są niezmiernie łatwe.
Po nauce zabawa i werandowanie,
Spacery, pogawędki, nawet sankowanie
Dla najdzielniejszych zuchów. A ot i południe;
Kto zje smaczny obiadek, ten nigdy nie schudnie.
Toteż każdy radośnie odgłos dzwonka wita,
Wiedząc, że go już czeka uczta wyśmienita.
Po krótkim odpoczynku, gdy trzecia godzina,
Znowu się odrabianie lekcyj rozpoczyna.
Lecz nauka to tylko przyjemność dla dzieci;
To też czas przy niej szybko, jak chwilka przeleci.
Zazaz po podwieczorku nauka jest znowu,
By nie nabrać brzydkiego lenistwa narowu.
A oto i godzina kolacji nadeszła,
I z talerzami znowu miła siostra weszła.
A potem, po godzinie, bez chwili wahania,
Posłuszna dziatwa żwawo zbiera się do spania.
Tak tydzień za tygodniem w Górce prędko mijaj
Chora dziatwa, jak kwiatek w słońcu się rozwija,
Prosimy, Górek więcej daj nam Mätko Bożä,
By polska dziatwa była i zdrowa i hoża.

Halina Jasnerzewska

Jak to było u nas na 19 marca 1932 r.?

W sobotę 19 marca 1932 roku ruch wielki w salach i hoolach już od wczesnego rana.

Znoszą zieleń, chorągwie, kilimy, parawany.

Mają scenę budować. — Święto. Wszyscy o tem wiedzą. Około 9-ej wszystko gotowe.

Portret Dziadka umajony zielenią — obok mała scenka — domek, a jakże z cegłami, dachem i okienkami, taki prawdziwy domek...

Zaraz próba generalna, a potem goście, niech widzą, co to dziatwa na Górce nawet leżąca, lub kulejąca potrafi zrobić.

Dziewiąta piętnaście, p. Hanka siada do fortepianu. Chór robi ostatnią próbę. A teraz najważniejszy punkt programu — inscenizacja piosenki „Przybyli ułani." Skończona próba. Przychodzą goście. Wszyscy na swoje miejsca. Chór ustawiony, a właściwie ułożony na łóżkach.

Zaczynamy. Odśpiewaliśmy Hymn Państwowy. Irena Adamska zabiera głos. Mówi o roli dziejowej Dziadka — całe niestrudzone życie Jego barwnemi słowami przedstawia słuchaczom. 1905, 1908, 1912, 1914, 1916, 1918, 1920 i 1926 r. oto etapy.

Skończyła. A potem chór oddaje piosenki legjonowe i „pierwszą kadrową".

Deklamują nasi najmłodsi wierszyki o Dziadku i te z pierwszego oddziału i z II-go aż do najstarszych. A teraz, „deser". Wchodzą ułani, prawdziwi ułani z prawdziwemi szablami, a chór „piano" śpiewa „Przybyli ułani". Idą ułaniska w ciężkich buciarach pod dom, pukają, stukają i krzyczą śpiewem: „Puść panienko". Wychodzi Krakowianka hoża i śpiewa „o Jezu a cóż to za wojacy"?

Biorą ułani krakowiankę i idą Wilno odwiedzić... Później znowu śpiew. Wreszcie kierownik szkoły, krótkiem przemówieniem, w którem powiada, że największym hołdem dla Marszałka, jest codzienna sumienna, szczera praca na wszystkich odcinkach życia, kończy uroczystość.

Chór śpiewa „Brygadę"

Wracają wszyscy na salę, tylko ułani myszkują jeszcze po sanatorjum, bo przecież wszyscy muszą ich widzieć. —

Wieczorem kino i radjo, a na podwieczorek te nasze „świąteczne cukierki", których p. Dr. Starkiewicz tak nie lubi. —

Pomagając propagowaniu naszej idei — przyczyniasz się do ratowania chorych dzieci od kalectwa, a nawet śmierci.

Pamiętaj o swym obowiązku i odpowiedzialności przed przyszłemi pokoleniami. —

Sprostowanie:

W numerze 1 | 13 ze stycznia r.b. str. 13 w składzie osobowym Rady Nadz. Tow. Przyj Górki — punkt 11 wydrukowano: Helena Grodzicka — Górka, zamiast Helena Żółcińska Górka, co niniejszym prostujemy.

Zdrowe dziecko — to przyszłość narodu i świata. Złóż najdrobniejszą ofiarę na fundusz leczenia dziecka.

KRONIKA GÓRKI.

Dnia 19-tego b. m. wyjeżdża do domu po jedenasto miesięczym pobycie na Górce, kol. nasza i członkini komitetu redakcyjnego, Krysia Stangenberg.

Kochaną naszą koleżankę żegnamy z żalem, gdyż zżyłyśmy się przez kilku miesięczny wspólnego pobytu, a wyjazd Jej odczujemy bardzo.

W ostatnich dniach lutego p. Dr. Starkiewicz, p. Dobrowolski i p. Kuroczko wyjechali do Zakopanego i Witkowic w celu zwiedzenia zakładów leczniczych Uniwersytu Jagiellońskiego i szkół sanatoryjnych.

Czas upływa szybko — niedługo będą święta Wielkanocne, a co zatem idzie — ferje — czas wolny od nauki. Od czasu, do czasu dobra jest taka zmiana, bo przecież i najwięcej interesująca rzecz może znudzić, gdy się zadługo przeciąga. Lecz po przerwie ze zdwojoną energją zabierzemy się do pracy.

Z okazji świąt życzymy wszystkim naszym koleżankom, kolegom i czytelnikom wesołych świąt.

Dnia 13 III b. r. odbyła się konferencja pedagogiczno-lekarska pod przewodnictwem Inspektora Szkolnego p. Jana Staneckiego. Na konferencji tej radzono nad przyszłością i rozwojem naszej szkoły.

Przejażdżka. Po siedemnastu miesiącach leczenia w łóżku, pierwszy raz spacer, brekiem do lasu. O piątej godzinie rano, tegoż dnia nie spałyśmy już. O dziesiątej miały być konie, więc o ósmej zaczęło się już przymierzanie, ubieranie, wyciąganie wszystkich mundurków, palt, czapek. Ubrane już czekamy — a koni jak niema tak niema.

Nareszcie przychodzi zawiadomienie, że będą, ale dopiero p. p. o trzeciej. Miny nam się powyciągały. Rozbieramy się i jak chmury gradowe siedzimy w łóżkach.

Czas dłuży się niemożliwie. Nareszcie jest wpół do trzeciej — ale teraz już nie spieszymy się z ubieraniem (jesteśmy fatalistkami) możliwe, że znowu nic z tego nie będzie pomimo to jednak przychodzi pielęgniarka z nowiną, że nie jedziemy, ponieważ chłopcy mieli na popołudnie obiecane konie.
Czarna rozpacz. Jednak zupełnie nie straciliśmy ducha. Delegacja w osobie naszej pielęgnarki poszła do p. dr. Sałamańczuka z prośbą o interwencję.

Czekamy, niepokój wkrada się w nasze serca. P. Wala wraca. Zrobione! Zrobione! — Sprawa dobrze załatwiona. Po dziesięciu minutach jesteśmy zniesione na dół, nie jednej z nas nie wolno nawet siedzieć, więc układamy się na ławeczkach, ażeby było jaknajwygodniej.

Jedziemy.

Konie parskają raźno i kłap, kłap,

kłap stukają kopytami o zmarzniętą ziemię.

Wiatr trochę dmucha, ale jesteśmy dobrze poubierane, więc nic nam nie zrobi.

Możemy oglądać teraz naszą Górkę z perspektywy, a obok na prawo pawilony, dalej brzózki —zwykle, patrzymy na nie z góry z werand. Wyjeżdżałyśmy na szosę; z dwu stron pola, szare zbrudzone płaty śniegu już tylko w bruzdach leżą, a po czarnych zagonach z powagą przechadzają się wrony. Jesteśmy już koło izolacji, machamy rękoma, nikt nie wygląda, ale co to szkodzi? jak kto ma ochotę z siebie robić wiatrak to może i ten budynek pozdrawiać.

Jedziemy dalej i śpiewamy, właściwie to tego nie można nazwać śpiewem, wydzieramy się, aby dać upust swojej radości. Zdaje się człowiekowi, że gdyby tylko lekarze pozwolili mu wstać, to świat zawojuje.

A jak tam właściwie będzie? — niewiadomo. No — to już i las, jedziemy jeszcze szosą, ponieważ rów nie pozwala wjechać w głąb, powyciągałyśmy szyje i wypatrujemy dostępnego miejsca, tymczasem furman skręca już pomiędzy drzewa, jesteśmy mu za to bardzo wdzięczne.

Śnieg jeszcze w lesie wszędzie leży, ponad głowami gałęzie sosen tworzą szumiące sklepienie.

— Spoważniałyśmy.

Jakąś melodję tęskną
Szemrzą drzewa
Cisza — stanął brek,
Zamilkły głosy
I tylko las śpiewał.

Dosyć jednak tej zadumy. Wjechałyśmy na polankę, jak ślicznie. Żałujemy teraz, że nie wzięłyśmy aparatu, byłoby ładne zdjęcie.

Proponuje któraś, że na przyszły raz zrobimy — niestety Krycha wyjeżdża w sobotę, więc i aparat zabierze.

Pocieszamy się, że może w tygodniu na pożegnanie Krychy dostaniemy konie, no i stroimy się w zielone gałęzie sosny, które siostra Jasia narwała.

Musimy już wracać, lekarz pozwolił tylko trzy kwandranse być na spacerze, więc trzeba się spieszyć aby uczynić zadość „cnocie punktualności".

Wyjechałyśmy z lasu i znowu zaczynamy śpiewać wyczerpał nam się repertuar więc „odwyrtkę„ powtarzamy jedną piosenkę po trzy razy i ze śpiewem też zajeżdżamy pod sanatorjum.

Do wieczora samopoczucie nasze było znakomite. —

A.

Wszystkim przyjaciołom naszego pisemka i czytelnikom — Redakcja przesyła najserdeczniejsze życzenia W E S O Ł Y C H Ś W I Ą T. —

Szkoły — uzdrowiska w Polsce.

Szkoła, w której uczą się dzieci chore bądź na łóżkach, hądź też w innych warunkach znajduje się nie tylko u nas na Górce, lecz i w innych zakładach w różnych miejscowościach Polski. —

Sprawa uczenia i wychowywania dziecka przewlekle chorego miała i przed nami szczerze oddanych zwolenników. W tej chwili szkół-uzdrowisk i szkół na otwartem powietrzu, (bo i te zaliczyć należy do kategorji szkół leczniczych) jest już kilka.

Są one w Zakopanem, Witkowicach, na Górce, Siewierzu, Miedzeszynie i Białymstoku. W najbliższej przyszłości napewno będzie ich więcej.

Podobna do naszej jest szkoła w Zakopanem, gdzie w sanatorium dziecięcem przebywa około 150 dzieci chorych na różne schorzenia gruźlicze. Są tam dzieci chodzące i leżące, wszystkie się uczą.

Pracują one w kilkunastu kompletach pod kierunkiem trzech nauczycielek. —

Dzieci chodzące uczą się oddzielnie od dzieci leżących. (U nas razem) Praca trwa niemal cały dzień. Uczą się częściowo w specjalnych klasach, latem zaś na otwartem powietrzu w zacisznem od wiatru miejscu. Przy końcu roku otrzymują dzieci promocje do klas wyższych. —

Nauczycielstwo tej szkoły ma wiele kłopotu, zwłaszcza z dziećmi, które przybywają na krótki okres leczenia najczęściej po dłuższej przerwie w nauce. Inny charakter posiada szkoła w zakładzie dla dzieci jagliczych w Witkowicach pod Krakowem.

W zakładzie tym dzieci są ulokowane w kilku pawilonach, szkoła zaś mieści się w najokazalszym pawilonie. Pracuje tam 10 nauczycieli w 21 oddziałach — uczy się z górą 300 dzieci.

Wszystkie dzieciaki chodzą, dlatego w organizowaniu lekcji nauczycielstwo nie ma tyle kłopotu, co w szkołach dla dzieci leżących. Szkoła w Witkowicah zaopatrzona jest w pomoce naukowe i zbiory i jest ona zapewne najstarszą ze wszystkich istniejących dotychczas w Polsce szkół-uzdrowisk, gdyż liczy już 10 lat istnienia.

Szkoła w Witkowicach wydaje swoje pisemko „Nasz świat".

Pozostałe szkoły - uzdrowiska w Polsce, oraz szkoły tego typu za granieą, omówimy w następujących numerach „Górki".

(c. d. n.)

Dzieci różnych szkół - uzdrowisk całej Polski! Nawiązujcie ze sobą ścisły kontakt, pisujcie do siebie, opisujcie swe przeżycia i wrażenia, oraz warunki wśród których żyjecie.

Redakcja „Górki" chętnie podejmie się pośrednictwa w wysyłaniu listów.

Pisujcie wprost do oddziałów, klas — a znajdziecie zawsze chętnych do odpowiedzi!

HUMOR.

Nauczyciel wykłada o górach i pokazuje na mapie Tatry, Alpy i inne góry. —

Nagle jeden z małych uczniów krzyczy: „Proszę pana, proszę pana — pluskiew chodzi po Tatrach."

I Kumoszka: „Wiele mleka daje wasza krowa?"

II Kumoszka: „A dyć osiem."

I Kumoszka; „I co kuma robi z tym mlekiem?

II Kumoszka: „A no, trzy litry wypijamy sami, a dziesięć litrów sprzedaje się...

(Daj odpowiedź w jaki sposóbb można tak zrobić?)

Mały Stasiek w szkólce wiejskiej gdy zrobił kleksa — mówił nań „o, świnia." — na przecinek zaś mówił; ogonek.

Nauczyciel stale tłomaczył mu że mówi się: „kleks" oraz „przecinek" zamiast „świnia" i „ogonek".

Stasiek dobrze zapamiętał sobie wskazówki nauczyciela.

Raz nie przyszedł do szkoły.

Następnego dnia tłomaczył się:

„Proszę pana, nie byłem wczoraj, bo tatuś zabił kleksa, a ja musiałem pomagać i trzymać za przecinek".

Ofiary.

W związku z naszą odezwą w lutowym numerze „Górki" o leczeniu dzieci w kolonjach sezonowych na Górce, wpłynęły do naszej Redakcji następujące ofiary;

Dr. Przemyski z Poznania	— zł. 6.
Dr. St. Sz.	— „ 10.
Jureczek Sałamańczuk	— „ 10.
Jańcia i Marysia Kuroczkówny	„ 10.
Mareczek Dobrowolski	— „ 10.
razem	zł. 46.

Wyrażamy nadzieje, że odzew nasz znajdzie dalsze echo w szerokich kołach młodzieży, szkołach, jak i w całem Społeczeństwie. —

W chwili Świąt Wielkanocnych, siedząc przy dobrze zastawionych stołach, odbierając podarunki i dając je — pomyślmy o tem, że tysiące dzieci są tak biedne, że nawet nie będą mogły w lecie wyjechać choć na krótki czas na kolonje, nie będą mogły leczyć się. Pomyślmy o tem. I może wtedy postanowimy sobie zaoszczędzić parę groszy na zakupach świątecznych i podarunkach, a za te grosze umożliwić biednej dziatwie wyjazd na kolonje lecznicze na Górce, dla ratowania ich zdrowia, a może i życia. —

CENY OGŁOSZEŃ: za tekstem: cała strona — 50 zł.; 1/2 strony — 30 zł.; 1/4 — 20 zł.; 1/8 — 12 zł. — Drobne — za 1 słowo 10 gr. Przed tekstem — 2 strona cała — 80 zł. — Tabelaryczne, fantazyjne — 50% drożej.—

Redakcja zastrzega sobie prawo odmowy przyjęcia ogłoszenia. Ogłoszenia przyjmuje biuro Tow. Przyj. Górki — w Busku—Zdroju, lub drukarnia p. St. Łuszcza w Busku—Zdroju. — Za terminowość ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

PRENUMERATA: rocznie zł. 6. — półrocznie zł. 3. — miesięcznie 50 gr. Numer pojedyńczy — 60 gr. — Prenumeratę wpłacać do PKO Nr. 21.330 — Tow. Przyjaciół Kolonji Leczniczej Dziecięcej w Busku—Zdroju.

Za komitet redakcyjny dziecięcy: **K. Błaszkiewiczówna.**

Redaktor odpowiedzialny: **W. Dobrowolski.**

Wydano nakładem Towarzystwa Przyjaciół Górki.

Wszelką korespondencję kierować: Busko—Zdrój, Górka, Redakcja „Górki".

Druk. St. Łuszcza, Busko — Zdrój, Tel. Nr. 42.